Zeszyt 33. Lwów dnia 30. Listopada 1879 **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

POKUTA.

POWIEŚĆ

Józefa Rogosza.

(C. d.) Takie to myśli wirowały po pięknej główce pani Celiny, gdy wsparta na ramieniu pana Konrada przy tonach walca salę okrążała. Gdy się znalazła w tem miejscu, gdzie siedziała pani domu, rzuciła na nią spojrzenie... Pani Laura śledziła nie tyle ją, co jej dansera, okiem płomienistem; usta miała na pół otwarte, czoło lekko zmarszczone, gniew na twarzy. Zdawało się jak by chciała coś przemówić, lub nawet przyskoczyć i ich rozerwać! To odkrycie podobało się młodej kobiecie... przecie znalazła coś, co tamtę bolało. To zemsta za aktorkę! Dalej więc tańczyła, coraz bardziej się ciesząc, że to gniewa panią Laurę. Z drugiej strony teraźniejsze zachowanie się pani Laury, starczyło za dowód, że między nią a panem Wodyńskim były związki serdeczniejsze... przecie nie była by tak rozgniewana, gdyby ten młody człowiek był jej obojętnym. Panią Zapolskę coraz bardziej cieszyło to odkrycie, tak dalece, że gdy walca tańczyć przestała, była już wesoła, uśmiechnięta, i pana Konrada biorąc sama pod ramię, poprosiła, by ją do męża odprowadził. W drodze młody człowiek zapytał, czy może z nią tańczyć kadryla, na co przychylnie odpowiedziała.

W kadrylu rozmawiała ciągle ze swoim danserem, który był nie tylko przystojnym, lecz także wykształconym młodym człowiekiem, i kilka razy się zdarzyło, że rozmową zajęci, zapominali o figurze, skutkiem czego zostawali na swoich miejscach, podczas gdy inni tańczyli. Nie jeden zwrócił na to uwagę; wszakże nikt ich tak nie śledził, jak sama pani domu, która mimo śniadej cery, to bladła, to się rumieniła, i drobne usta prawie do krwi przygryzała.

Przy końcu kadryla pani Celina zapytała:

— Z kim pan tańczysz kotyljona?

— Z nikim... przyjechawszy za późno, nie zastałem już wolnej danserki. A pani z kim tańczy?

— I ja z nikim... sądziłam, że wyjedziemy przed kotyljonem, więc nikomu go nie przyrzekłam.

— A czy zamiar rychłego wyjazdu uległ zmianie?

— Nie wiem co mój mąż na to powie.

— Jego biorę na siebie... przecie on lubi, gdy się pani bawi! Jeźli więc państwo zostaniecie, czy mogę panią prosić o tego kotyljona?

— Jeżeli zostaniemy, chętnie...

O! ona teraz miała już niezłomne postanowienie zostać, aby jeszcze bardziej dokuczyć tej kobiecie złośliwej, która odważyła się nazwać ją córką aktorki!

Bystre oko pani Julji szybko dostrzegło, co się dokoła niej działo, i serce zalotnicy radowało się ze swego dzieła.

— Niech się gniewają — myślała — niech się nienawidzą, tem lepiej dla mnie! Powoli obie wycofają się z naszych towarzystw... jedna drugiej będzie unikała, a wtedy ja sama zostanę! Laura mało ze złości nie pęknie, a Celina chcąc jej dokuczyć, zaczyna się ślizgać... Przekona się, czy to bezpiecznie!

Pani Armatowiczowa była w rzeczy samej w najwyższym stopniu rozdrażniona. Chciała śmiać się, nie mogła; rada by komu dokuczyć, nie wypadało być niegrzeczną we własnym domu; pragnęła pomówić z panem Wodyńskim, nie udawało się, on jej bowiem rozmyślnie unikał. Przestała tańczyć i usiadłszy na boku, przypatrywała się zabawie. Bolesny jednak musiał być dla niej widok, gdy obok siebie ujrzała przemykającą panią Celinę, wspartą na ramieniu Konrada... Nie mogąc dłużej nad sobą panować, pospieszyła do pana Zapolskiego, który jak według zwyczaju, stał w gronie mężczyzn i opowiadał im tym razem zajmujące wydarzenia z polowania na borsuki.

— Sąsiad nie tańczy? — zapytała, wsuwając pod jego ramię swoją rączkę drobną.

— Ja nigdy nie tańczę... zostawiam tę przyjemność mojej żonie.

— Z której też pani korzysta.

— A co mnie wielką przyjemność sprawia.

— Doprawdy? Więc pan nie zazdrośny?

— Zgoła nie... zazdrość bez podstawy nazywam śmiesznym narowem, a gdzie jest podstawa, tam zdaniem mojem nie może się już obudzać uczucie zazdrości, lecz chyba obrażonej godności.

— Tak pan sądzisz?

— Nie inaczej...

Pani Laura usta przygryzła i oczy ku ziemi spuściła; po chwili patrząc znowu na tańczących, zapytała:

— Nie uważasz pan, że nasz Don Żuan coś za często dziś tańczy z pańską śliczną żonką?

— Bardzo mnie to cieszy, że jej towarzystwa dotrzymuje — odparł sucho pan Zapolski — sam go o to prosiłem.

— Sam go o to prosiłeś... jego... człowieka z tak złą reputacją?

— A nie mogła byś mi pani powiedzieć, odkąd to pan Konrad ma reputację popsutą?

Zapytanie było tak cierpkie i tak trafne, że pani Armatowiczowa uznała za stosowne nie odpowiedzieć. Nie trudno jej było odgadnąć, co on myślał... oddaliła się też prędko, widząc, że w „brodatym opryszku" jak go zwykle nazywała, zazdrości nie obudzi. Pan Zapolski wiedział, w jakim zamiarze do niego się zbliżyła. Jeżeli jego żona tylko słyszała, że pani Laura nie jest wzorową małżonką, za to on wiedział aż nadto dobrze, jakiej wartości moralnej jest ta kobieta. Jeżeli mimo to bywał w Żurawce, czynił to dla pana Armatowicza, którego cenił jako sąsiada pracowitego i wysoce uczciwego, nie zaś dla jego żony, która pojawiała się w tych stronach bardzo rzadko. Każdy na jego miejscu był by się domyślił, że kobietę jak ona zarozumiałą, próżną i zalotną, musiała gniewać osoba druga, stokroć od niej piękniejsza. Wiedział on także, jakie stosunki łączyły ją z dawien dawna z Konradem, więc nie dziwił się, że chciała przed nim Celinę obmówić. Wszak Konrad tańczył najwięcej z jego żoną, a o pani Laurze całkiem zapomniał! Nie miałaż więc dostatecznego powodu przyjść doń i rzucać podejrzenie na Celinę? Wysłuchał też jej słów obojętnie, i odpowiadał na nie spokojnie, chociaż siwe jego oko płonęło podczas rozmowy ogniem niezwykłym. Widząc go tak we drzwiach mówiącego z uśmiechem, a spoglądającego surowo, mogło się było wydawać, że był bardzo rozgniewany lub obrażony, i do grzeczności tylko się przymuszał... Nie wiem jak kogo, ale mnie siwe oko u brunetów grozą przejmuje. Bruneci z takiem okiem są prawie zawsze jak żelazo niezłomni.

Bal przeciągnął się do rana. Zofia i Helunia były uszczęśliwione, bo nawet nie marzyły by tyle można tańczyć, a kto chciał, zbierał sobie wzorki z wszystkich i z wszystkiego. Tych, którzy przedtem nie znali bliżej domu ormjańskiego, uderzyła najbardziej rzecz następująca. Oto na wyraźny rozkaz pana domu, który gdzieś słyszał, że na balach we wielkich domach palą się wonne kadzidła, obnosili co kilka godzin lokaje jakieś łyżki rozpalone, z rączkami drewnianemi, na które lali perfumy. Ponieważ takie kadzidło drogo kosztowało, przeto służba dobrze wyuczona, zbliżała się jedynie do osób wybitniejszych i te okadzała na wszystkie strony!

XI.

Wytwornym wózkiem, na kołach wysokich, jechał Konrad Wodyński. Konie rasy arabskiej szły szparko, ledwie ziemi dotykając, wiedziały bowiem, że wracają do domu, do ulubionego żłobu i siana. Młody człowiek miał twarz wypogodzoną, oko wesołe; widocznie był zadowolony. Wracał z Przyboczy, gdzie go uprzejmie przyjęto. Z panem Zapolskim znali się od dawna, bo od dzieci, ale później rzadko się widywali: jeden mieszkał stale na wsi, drugi w mieście. Dopiero odkąd Konrad na wsi zamieszkał, mogli się częściej widywać, chociaż kto wie, czy by do tego było tak prędko przyszło, gdyby nie bal w Żurawce. Sposób, w jaki pani Celina zachowała się w obec niego, chociaż bliżej go nie znała, był zdaniem jego dostatecznym tytułem do zawiązania jak najprędzej bliższych stosunków. Nie czekając też długo, pojechał do Przyboczy, teraz zaś wracał już z czwartej wizyty, chociaż od balu u państwa Armatowiczów upłynęły ledwie dwa tygodnie. W Przyboczy widywano go chętnie, bo wesoło gawędził i przyjemnie śpiewał, a on układał już sobie plany daleko sięgające.

Konrad Wodyński był rzadkością w swoim rodzaju; mimo że lat miał już przeszło trzydzieści i od pół roku był wdowcem, co w oczach kobiet w znacznej mierze zmniejsza wartość mężczyzny, należał ciągle do tych wybrańców, w których panny cicho się kochają, o których kobiety uczciwe wyrażają się przychylnie, mówiąc, że są bardzo przyjemni, którym osoby zapoznane, a pragnące dać się poznać, mówią z oczyma w dół spuszczonemi, że są „niebezpiecznymi bałamutami", a za którymi kobiety lekkomyślne natychmiast szaleją.

Był słuszny, smukły, miał włos jasny, popielaty, oko niebieskie, duże, łagodne. Patrząc na niego, myślałeś że to anioł, tymczasem był to szatan. W ośmnastym roku życia znalazł pierwszą kobietę, która pierwsza mu powiedziała, że go kocha. Była to kobieta zamężna, w wieku poważnym, jedna z tych, które wiedząc, że mężczyzny rozumnego nie oszukają, bałamucą młodzików. Po sto razy na dzień powtarzała mu, że go kocha, że bez niego żyć nie potrafi, że umrze jeżeli on jej kochać nie będzie! Konrad patrząc na tyle przywiązania, mówił jej nawzajem, że ją kocha, i kto wie, czy w młodziutkiem jego sercu nie obudziło się dla niej co więcej, prócz wdzięczności za tyle uczucia i słodycze pierwszej miłości. Smutna to i niestety codzień

powtarzająca się historja, że ludzie młodzi i niezepsuci, wpadają prawie zawsze w sieć przez takie kobiety zastawioną.

Dwa lata dźwigał pęta miłości, i ku wielkiemu swemu zdziwieniu coraz bardziej się przekonywał, że miłość u boku kobiety, starszej od niego o lat trzydzieści, nie należy do rozkoszy. Zaczynał się już nudzić, niecierpliwić, nawet przemyśliwał jakby się od tych więzów uwolnić, gdy sama Opatrzność nad nim się zmiłowała, zabierając ją z tego padołu płaczu. Konrad poszedł na pogrzeb, na okrągłe policzki spadło mu nawet kilka łez żalu szczerego, ale gdy do domu wrócił, swobodnie odetchnął. Bądź co bądź ciężkie okowy z nóg mu opadły — uczuł się wolnym człowiekiem.

Na ślizką wstąpił ten ścieżkę, kto pierwsze westchnienie skierował ku osobie zamężnej; ale nad czarną stanął ten przepaścią, do którego kobieta zamężna pierwsza westchnęła. Tamten jest tylko zbłąkany — ten zgubiony. Pierwszy myśli, że każdą kobietę wolno kochać; drugi wierzy, że wszystkie kobiety muszą go pokochać. Do tych drugich należał Konrad Wodyński.

Kilka lat przerzucał się z kwiatka na kwiatek, pukając do serc rozmaitych i nigdy go zawód nie spotkał. Niech to nikogo nie dziwi! Młody człowiek, choćby najbardziej zepsuty, nie usiłuje uwieść kobiety, którą sam uważa za prawdziwie cnotliwą, przed cnotą bowiem korzy się największe zepsucie; on szuka tylko takich, o których przypuszcza, że nie są zbyt surowe i na takich się nie zawodzi. Odnosząc łatwe zwycięztwa, coraz bardziej traci wiarę w uczciwość kobiet, zniechęca się do wszystkiego co piękne i robi się cynikiem. Tak najczęściej wyglądają ludzie niegdyś głośni z piękności, dowcipu i łatwych zwycięztw, a dziś starzy kawalerowie.

Pan Konrad był już dobrze znudzony, gdy poznał panią Laurę Armatowiczową. Nie była to wtedy piękność świeża, w pełnym rozkwicie, ale chociaż wdzięki gasnąć już zaczynały, należała jeszcze do kobiet bardzo ponętnych. Była jedną z tych, którym mężczyźni oprzeć się nie umieją. Nasz Don Żuan, jak go powszechnie nazywano, wcale nie myślał się opierać, a że ona właśnie znudzona jakimś biuralistą, szukała nowej znajomości, więc otwartemi rękoma przyjęła gościa miłego.

Z początku, oparty na doświadczeniu, chciał postąpić z nią jak z innemi: poromansować i coprędzej pożegnać, by przypadkiem nie powtórzyła się pierwsza jego miłość, której wspomnienie strachem go przejmowało. Układając jednak ten plan, nie wziął w rachubę osoby drugiej, która była zręczniejszą, niż wszystkie jej poprzedniczki. Tamte porzucał kiedy sam chciał — ta nie dała się porzucić. Cały arsenał broni niewieściej, począwszy od uśmiechów zalotnych i westchnień, skończywszy na łzach i groźbach, miała każdej chwili na rozkazy, a że znała naturę mężczyzn, więc równocześnie zaczęła na niego tak działać, jak dotąd żadna jeszcze. Oto jak siostra najczulsza, przyjaciółka najwierniejsza, myślała o jego wygodach domowych, i chociaż mieszkała na przeciwnym końcu miasta, tak umiała zarządzić, że mu w domu na niczem nie zbywało. Kawalerowie bardzo lubią, gdy się nimi kto opiekuje, to też i kobieta, która pod tym względem umie ich wyzyskać, może być pewną, że powoli stanie się im niezbędną. Do tego i ona dążyła.

Pani Laura nie dla tego tylko kochała się w Konradzie, że był chłopcem młodym, przystojnym i miłym. W nim podobała jej się także dziarskość, którą się wyróżniał między mężczyznami, a z którą coraz rzadziej można się spotkać. Dziś ludzie spoważnieli, oziębili się i znudzili. Konrad należał jeszcze do tych, którzy nie boją się konia najdzikszego, którzy potrafili by się wyrąbać z samym Lucyperem, którzy na schadzkę miłośną poszli by milę po linie najcieńszej. Miał też pojedynków co niemiara, i z wszystkich wyszedł zwycięzcą. Prócz tych zalet, miał jeszcze jedną cnotę, którą pani Laura wysoko ceniła: oto tak był dyskretny, że o miłośnych swoich stosunkach nigdy nie mówił. Tak dyskretnemu można śmiało zaufać...

Młody człowiek ani spostrzegł, kiedy pani Laura tak zręcznie go oplotła swemi nićmi, że się więcej nie mógł ruszyć. Zdawało mu się, że jest wolnym; tymczasem robił tylko to, co ona sobie życzyła. Powoli oderwała go od świata całego i tak przykuła do siebie, że sam już wątpił, azali kiedy uwolni się od tych więzów.

Tak minęło lat kilka. Nie darmo mówią, że przyzwyczajenie staje się drugą naturą; psu, który z łańcuchem na szyi kilka lat w budzie spędził, zdaje się, że w budzie najlepiej. Konradowi po kilku latach zdawało się także, że bez pani Laury żyć nie potrafi. Wprawdzie w tym stosunku nie znalazł szczęścia, zalotnica bowiem z każdym rokiem robiła się zazdrośniejszą, lecz mimo to codzień ją odwidzał, jak ten pies, który codzień do budy wraca.

Zwolna jednak zaczął przezierać. Z tysiąca drobnostek przekonał się, że pani Laura jest na wskróś kobietą zepsutą; kilka razy wiodła z nim rozmowy, których on udawał, że nie rozumie, a które grozą go przejmowały; prócz tego czuł, że zaszedł w las, z którego wyjścia nie ma, a z którego przecie by wyjść należało. Myślał, dumał, w końcu plan ułożył. Nic nikomu nie mówiąc, pojechał do Karlsbadu, poznał tam młodą, przystojną i dobrego domu panienkę z Kongresówki, a że sam umiał się podobać, więc do sześciu tygodni poślubił ją w Krakowie, poczem z żoną do Lwowa powrócił. Pani Laura dowiedziawszy się o tem, omało nie dostała pomięszania zmysłów; niech jednak nikt nie sądzi, że z rozpaczy, bynajmniej! z gniewu. Dopiero teraz można się było przekonać, że ta kobieta samolubna nigdy Konrada nie kochała, a miłość jedynie dla tego kłamała, że bądź co bądź bez adonisa obejść się nie mogła. Stosunek zaś z takim jak Konrad mężczyzną, w jej mniemaniu zaszczyt jej przynosił. Wszak

był uważany za pierwszego między młodzieżą! Gniewało ją to, że została na lodzie, że ją podstępnie w pole wyprowadził, że jej nie kochał, a przedewszystkiem, że pierwszy ją porzucił! Dawniej zawsze ona pierwsza się cofała; teraz znalazł się ktoś, co jej pierwszy *adieu* powiedział.

Ale pani Laura była dyplomatką. Wiedząc, że świat przewrotny nie będzie okazywał współczucia dla jej niedoli, ukryła prędko pazurki, twarz miała jak dawniej uśmiechniętą i do domu państwa Wodyńskich, mimo że Konrad tego sobie nie życzył, zręcznie się wcisnęła. Gdy raz dał jej uczuć, że jego żona nie wiele skorzysta na tej znajomości, rzekła:

— Ach! pan myślisz, że ja jestem ta sama co przed rokiem... Nie! nie! panie Konradzie! Jam się zmieniła, boleść mnie zmieniła! Ja panu żadnych nie robię wymówek, boś postąpił jak ci serce nakazywało — jam pana widać nie mogła uszczęśliwić — ale kiedy tak się stało, kiedy serce moje zranione, to czemuż nie chcesz, bym ci przynajmniej była szczerą przyjaciółką? Panie Konradzie, twoje szczęście będzie mojem, ja kochałam cię zawsze bezinteresownie, ja pragnęłam tylko twego szczęścia!

Gdzież mężczyzna, do którego przekonania nie trafiło by takie przemówienie? Jeżeli by kto mógł jeszcze wątpić o dobrem sercu pani Laury, z pewnością nie był by nim Konrad, który ciągle wierzył, że ona kocha go do szaleństwa, a ponieważ nieraz i nie dwa czytał, że kobieta niepozbawiona wszelkich uczuć szlachetnych, a tak zawiedziona, staje się często przyjaciółką tego, który dawniej był jej marzeniem jedynem, więc święcie uwierzył w szczerość uczuć pani Laury. Podejmował ją też u siebie i sam z żoną u niej bywał, uważając ją ciągle za najlepszą swoją przyjaciółkę.

Jaki cel miała ta kobieta? Nie wiemy... chociaż zdaje się, że postanowiła wkraść się w zaufanie tak żony, jak męża, by ich potem tem łatwiej poróżnić. Cel nie został jednak osiągnięty; młoda kobieta dostawszy płuc zapalenia, umarła w pół roku po ślubie. Pani Laura jak rodzona matka chorą pilnowała, trawiąc przy jej łożu noce bezsenne, co wdowca stroskanego do łez rozczulało.

Gdy żal przeminął, u osób jak Konrad lekkomyślnych, prędko on przemija, pani Laura zaczęła natychmiast sieci na niego zarzucać, co się jej bez trudności udało; do dawnej bowiem jego skłonności przyłączyła się jeszcze wdzięczność, a gdzie ta w grę wchodzi, tam dla mężczyzny prawie nie ma ratunku! Do kilku też tygodni wróciły dawne stosunki, a gdy pani Armatowiczowa do Żurawki zjechała, bez Konrada żyć już nie mogła.

Konrad często ją widywał i wmawiał w siebie, że ma dla niej sympatję, chociaż w głębi duszy od dawna zagnieździł mu się robak zniechęcenia i niewiary. Przestał wierzyć we własne szczęście i cnotę kobiet. Jedna żona mogła go była wyleczyć z tej choroby niebezpiecznej, lecz ta umarła! Laura zaś mogła w nim tę chorobę tylko bardziej spotęgować.

W takim nastroju przyjechał na bal do Żurawki. Z początku, jak według zwyczaju, zamierzał nadskakiwać pani domu, ale gdy przypadek sprowadził go z panią Celiną, która niebacznie ośmielać go zaczęła, zapomniał natychmiast o dawnej miłości i pięknemi łudząc się nadziejami, królowej balu na krok nie odstąpił. Jak pijaka, gdy na wódce się rozpije, ciągnie zawsze do tego napoju, choćby mu podawano wina najprzedniejsze, tak i mężczyzna zepsuty przez kobiety zamężne, najchętniej szuka znajomości z mężatkami. Cudza żona jest dla niego szczytem marzeń. Prócz tego jak mile została teraz połechtana jego miłość własna! Wszak pani Zapolska była uważana powszechnie za kobietę cnotliwą, o której względy nikt by się nawet starać nie ośmielił; tymczasem ona nie tylko go wybrała, ale co najważniejsze, sama pierwszy krok uczyniła. Konrad za nadto był człowiekiem bystrego umysłu, by tego nie dojrzał i celu się nie domyślał. Widocznie znudził ją mąż wiecznie polujący, więc szuka przyjemniejszego towarzystwa.

O tem, że Zapolski uważał go za swego przyjaciela, ani pomyślał. Niestety! należał on już do tych ludzi, którzy utrzymują, że bez grzechu można kraść książki i cudze żony uwodzić. Niektórzy między nimi idą jeszcze dalej, twierdząc, że dobremu przyjacielowi oddaje się nawet usługę, jeźli mu się żonę bałamuci. Między ludźmi, niemającymi zdrowej podstawy moralnej, a goniącymi codzień za nową przyjemnością, przekonania pod tym względem są bardzo wypaczone. Konrad miał zresztą czas pozbyć się ostatnich skrupułów i stłumić ostatnie wyrzuty sumienia. Wszak od ośmnastego roku życia był zawsze wielkim przyjacielem tych mężów, których żony w nim się kochały, a pan Armatowicz nie mógł się nawet obejść bez niego. Jeżeli teraz zachodziła jaka odmiana, to jedynie w sytuacji, nie w zasadzie. Dawniej był zawsze pierwej dobrym znajomym żony i dopiero przy jej pomocy stawał się męża przyjacielem; teraz był od dawna męża przyjacielem i dopiero przy jego pomocy chciał zostać dobrym żony znajomym. Jak więc widzimy, zasada zmianie nie uległa, a tylko okoliczności ubrały ją w inną formę. Że mąż przyjdzie mu w pomoc, ani chwili nie wątpił! Wszak w takich wypadkach mężowie najczęściej sami pomagają. Zresztą początek był już zrobiony. Na balu Zapolski był uradowany, że w towarzystwie Konrada żona jego tak dobrze się bawiła, teraz zaś ilekroć przyjechał, a był cztery razy w dwóch tygodniach, przyjmował go otwartemi ramiony.

Co do pani Celiny, o tej nie mógł jeszcze powiedzieć, by ją zwyciężył. Była uprzejmą gospodynią i miłą towarzyszką, lecz i koniec na tem. Dotąd nie ośmieliła go ani jednem słowem, ani jednem spojrzeniem. Nic to jednak nie szkodzi — myślał sobie Konrad — im która z nich

zręczniejsza, tem oględniej rozpoczyna, i dopiero gdy się upewni co do wartości mężczyzny, jak nie mniej, gdy się przekona, że jest kochaną, ustępuje ze stanowiska odpornego... Kochana! ha! ha! ha! A której to nie mówimy, że ją kochamy!

Tak dumał Don Żuan, wracając z Przyboczy do siebie. Zbliżywszy się do drogi, która przez pola wiodła do jego dworu, usłyszał za sobą głośne z bata strzelanie i krzyki oddalone. Ogląda się i widzi starożytnego fasonu taradajkę z Żurawki, a na niej jak kłodę czworoboczną siedzącego pana Armatowicza. Zatrzymawszy konie, czekał.

— Przecie cię złapałem! — wołał mąż pani Laury. — Pędzę, krzyczę, a ty uciekasz! Jak mego pana Boga kocham, to nie po sąsiedzku!

— Jak cię kocham, Kajciu, dopiero teraz usłyszałem.

— Nawracaj, Konradziu, nawracaj! bo mi ciężko wysiąść.

Woźnica nawrócił amerykankę; gdy się oba ekwipaże zrównały i panowie ręce sobie uścisnęli, pan Kajetan rzekł:

— Przesiądź się do mnie.

— W jakim celu?

— Zabieram cię do siebie.

— Przepraszam cię Kajciu, lecz muszę do domu wracać. Trzeba robotników wypłacić i ekonomowi wydać dyspozycję.

— Nie wykpisz się Konradziu, nie! Cały tydzień u nas nie byłeś... czy to tak postępują dobrzy sąsiedzi i przyjaciele? Dawniej codzień o nas pamiętałeś, dziś nie przypomnisz sobie raz w *tydniu*. To nie pięknie! Jak mego pana Boga kocham, to nie po szlachecku.

— Przyjadę kiedy indziej... może jutro...

— Nie, nie puszczę cię bratku, zaraz musisz jechać! Laurunćia wysłała mnie z rozkazem, bym się nie odważył wracać bez ciebie. Biedaczka nudzi się, *straszenje* się nudzi i od tygodnia tak mi głowę myje, że jestem na umęczenie *skondebnowany*. Doprawdy trzeba by *stalennego* zdrowia, żeby to wytrzymać.

— Bardzo cię żałuję Kajciu, ale mimo chęci najszczerszych, prócz współczucia nie mogę ci dziś więcej ofiarować. Jak mi tylko czas pozwoli, z pewnością do was przyjadę. Dziś nie mogę, jak cię kocham Kajciu, nie mogę.

— A do Przyboczy masz czas jeździć, co? Ale nie dziwota... dla ładnej i młodej mężateczki czas zawsze się znajdzie... nie ma go tylko dla takich starych dziadów jak my dwoje.

— Nie mów tego głośno — wtrącił Konrad ironicznie — aby twoja pani przypadkiem nie usłyszała.

Pan Armatowicz oglądnął się z przerażeniem.

— Dzięki Bogu nikt nie słucha.. Ale Konradziu, kochaneczku, jedź do mnie... na godzinkę, na kwadransik, ale jedź... zaraz i mojej żonie lżej będzie i mnie. Ona cię kocha jak brata, jak syna!

Konradowi nie była na rękę ta wizyta; zaraz po balu, mając plany nowe, powiedział sobie, że z tej znajomości musi się wycofać, i aby być konsekwentnym, coraz rzadziej jeździł teraz do Żurawki. Tak postępując, miał nadzieję, że do kilku miesięcy przestanie zupełnie bywać w domu państwa Armatowiczów, czego z całej duszy pragnął. Złapany teraz na drodze, wymawiał się jak mógł, lecz gdy wszystko nie pomogło, pan Kajetan bowiem bohatersko stał przy swojem żądaniu, przesiadł się na jego taradejkę i pojechał do Żurawki.

Pani Laura wybiegła aż do przedpokoju, żeby ich powitać. Była uradowana, pomięszana, rękę Konrada czule uścisnęła i patrząc na niego miała oczy łez pełne. Przy herbacie, na którą go zatrzymała prawie przemocą, posadziła gościa obok siebie i kilkakrotnie usiłowała dotknąć się jego ręki; Konrad jednak tak zręcznie manewrował, że jej się to ani raz nie udało. Na niczem także spełzły jej zabiegi, aby bodaj chwilkę sam na sam z nim zostać. Młody wdowczyk, znając dobrze jej taktykę, trzymał się ciągle gospodarza domu i wszędzie za nim chodził. Nie mogła mu więc nic powiedzieć, o nic zapytać. Wprawdzie od czasu do czasu rzucała złośliwe uwagi o pani Celinie, i gościa kilkakrotnie zapytywała, kiedy ostatni raz był w Przyboczy, on jednak udawał, że uwag nie rozumie, a na zapytanie nie dał jasnej odpowiedzi. Takie postępowanie musiało ją rozdrażnić. Była też zła jak szatan, gdy czuje, że ofiara, którą za swoją poczytuje, z rąk mu się wymyka; ale ponieważ talent udawania był u niej w wysokim stopniu rozwinięty, więc wstrzymywała się, wesołość udając. Gdy po herbacie Konrad nie odjeżdżał, lecz prawie uciekał, pożegnała go słodko, prosząc z naciskiem, by o nich „raczył pamiętać“; gospodarz zaś aż się zasapał, tak go ściskał i całował.

Trzeciego dnia Konrad otrzymał list od pani Laury. Na czterech kartkach, po obu stronach bito zapisanych, „zbolałe serce ofiary nieszczęśliwej“, jak sama o sobie mówiła, skarżyło się na obojętność „niewdzięcznika“, robiło mu tysiące innych wyrzutów i w końcu błagało, by jak najprędzej przyjechał je pocieszyć. Nazajutrz otrzymał list nowy, w którym była już mowa o czarnej rozpaczy, „strasznej śmierci“ i jeszcze „straszniejszej karze niebios“. Wdowczyk nie bardzo się jakoś przestraszył, a podarłszy list w drobne kawałki, rzucił go do kosza. Z listami, które potem codzień przychodziły, robił to samo wcale ich nie czytając, a gdy pan Kajetan znowu się pojawił, i koniecznie chciał go zabrać do siebie, mimo próśb jego okazał się nieugiętym i nie pojechał do Żurawki. Biedny pan Armatowicz musiał sam wracać.

Koniec części pierwszej.

W DZIEŃ ZADUSZNY.

„O dzika żądzo pośmiertnego żalu!“
J. Słowacki.

Jesień mi zżółkłym liściem grób okrywa,
Jesień cmentarnym wieje na mnie pyłem,
Wicher piosenki swe odwieczne spiewa.
Niegdyś, o! niegdyś słodko przy nich śniłem...
Dzisiaj się cicho przy nich odpoczywa.
Wszak ja z was jednym byłem — wszak ja żyłem;
Dziś nad mym grobem wierzba liść rozplata
I drży!... Nie dla mnie świat — jam nie dla świata!

Umarły jestem! — A jednak — o dziwy!
Dziś mówię do was! Ale nietykalne
Tajniki grobu... Czy mój duch szczęśliwy?
Czy się rozpłynął w hymny tryumfalne,
Czy w białą różę wykwitnął z pokrzywy?
Czy w gwiazdy Bożą miłością zapalne?
Cicho!... Za sobą duch mój zatarł ślady,
Śmierć mi na ustach kładzie palec blady!

Ja śnię! Niekiedy ciemność się rozświeca,
Niekiedy grób mój zwolna się otwiera,
I nagle — jasna wspomnień błyskawica
Ognistym wężem chmury lat rozdziera;
Umarły jestem — lecz myśl — męczennica
Targa się w bolu — ale nie umiera,
Wieczny gladjator w arenie mej duszy
Walczy — lecz miecza nie stępi — nie skruszy.

I czasem — czasem tęskno mi za światem,
Śnią mi się blado dni dawno minione;
Ach! — Bóg ozdobił jednym białym kwiatem,
Ową cierniową długich lat koronę:
Świat jest olbrzymim Boga poematem,
Za życia wolno tylko jedną stronę
Przeczytać! — Dalej nie wolno — choć pęka
Serce! — Przeznaczeń ołowiana ręka!

Ja śnię tęczami sypiące rozrzutnie
Dni moich młodych promienne anioły...

. . . .

Oczy, co niegdyś daleko a smutnie
Spoglądać zwykły, dziś dwa ciemne doły
W tej trupiej czaszce, a w niewdzięczną lutnię
Brzęczące serce — dziś — zimne popioły,
Jam już spokojny, cichy i bezpieczny!
Umarły jestem! — „Odpoczynek wieczny!“

Już nie zabiorę miejsca między wami,
Odgłosem kroków ciszy nie zamącę,
Słów waszych memi nie przerwę słowami,
Fałszywym tonem o słuch wasz nie trącę;
Poszła w dal przeszłość ze śmiechem i łzami!...

. . . .

O! spojrzyj w niebo gwiazdami iskrzące,
Tak jak to niegdyś!... Nic już nie utracę!
Umarły jestem!... „Requiescat in pace.“
Kwiat żaden na mym grobie nie rozkwita,
Ścieżka w zieloną zmieniona murawę!...
Gdyby choć z listków wiązanka uwita,
Gdyby choć czasem jedno ciche: „Ave.“
Lecz wszak umarłym też jeden dzień świta,
Za którym oczy zwracają się łzawe,
Oczy pamięci! Nad mą garścią prochu
Zawołał puhacz przyjaciel: „Wstań śpiochu!“

Oto umarłych dzień! I pocóż wstanę?
Kędyż obrócę niepewne me kroki?
Dzień każdy światu nową niesie zmianę,
A świat ten zimny, straszny i szeroki,
Kędyż me ciche kraje ukochane,
Kryształowemi zraszane potoki,
W złotych pszenicy stojące kobiercach,
Gdzie krzyż przy drogach, a Bóg w ludzkich sercach?

Oto umarłych dzień! Już mrok zapada,
Miasto umarłych patrzy lamp oczami
W miasto żyjących i szumem drzew gada:
„Wkrótce tu, wkrótce zamieszkacie z nami!“
Nad każdą głową śmierć ulata blada,
I zwiewa cicho białemi skrzydłami
Rumieniec z twarzy, z oczu blask nadziei
I wypłakane oczy do snu klei!

Drży ciemny kościół głuchym modlitw gwarem,
Płynie umarłych hymn rozdzierający,
Cień każdy, co się sunie za filarem,
Lub nieruchomie na głazach klęczący,
Zatrutym wspomnień upaja się czarem,
I w głębi piersi ukrywa łkającej
Pamiątek kwiaty nigdy nie więdnące,
Biedne — najdroższe kwiaty — choć kolące!

I moje serce dziwny dreszcz przenika,
Niezwyciężona podnosi mnie siła,
Spróchniałe wieko trumny się odmyka,
Już się otwiera zaklęsła mogiła,
Na odgłos dzwonów i na wrzask puszczyka
Jakaś zbłąkana iskra się zatliła
W czaszce, co dawno i spokojnie drzemie
I w sercu!... Dalej, z podziemi — na ziemię!

Wszystko jak dawniej! I żniwiarz tęsknoty —
Księżyc — za chmurą zwolna się przechodzi;
Sierp jego ostry, promienny a złoty
Tysiące wspomnień na myśl mi przywodzi.
I „Mlecznej drogi“ rozpuszczone sploty
„Polarna gwiazda“ mdłym odblaskiem chłodzi;
Hieroglifami gwiazd na głębokości
Niebios — Bóg pisze księgę swej mądrości.

Wszystko jak dawniej! — Miasta mgłą owiane,
Szare po polach i po lasach wioski,
Dłonie opadłe, serca skołatane,
Te same bole — walki — łzy i troski;
Jak dawniej czoło swe koronowane

Cierniem — pochyla cierpienia mistrz Boski;
Krzyżem i grobem, chaty zwalonemi
Człowiek — pieśń pisze bolów swych na ziemi!

Kędyż polecę skrzydłami lotnemi?
Gdzie utęsknione oczy me obrócę?
Czy pójdę śmiało ścieżkami dawnemi?
Czyż śmiało piosnkę wspomnienia zanucę?
Dzisiaj nieznany między nieznanemi,
Może w grób z gorzkiem szyderstwem powrócę?
I zawiedziony w trumnę się położę!
O gdzież ja pójdę, gdzież ja pójdę, Boże!?

Wszystko jak dawniej! — Winograd zdziczały
Rzuca na ściany swe pożółkłe wieńce,
Drży na tle nocy muru kontur biały,
Wierzba wyschnięte wyciągnęła ręce,
Ostatkiem liści lipy zaszumiały,
Jesiennej wiatru wtorując piosence!
Wszystko jak dawniej. Blade światło błyska,
O duszo moja, jakże jesteś bliska!

Jakżeś ty bliska — a jednak daleka,
Może z gorzkiemi odejdziesz ztąd łzami,
Może na ciebie nikt tam — nikt nie czeka,
Nikt nie zamroczył szyby westchnieniami,
Żadna myśl nie szła do trumny twej wieka,
Nikt nie osłaniał ciebie modlitwami;
Żadna się w ciemność źrenica wilgotna
Nie patrzy! Duszo moja tyś samotna!

Kiedy z podróży do domu wracacie,
Znużeni długą i mozolną drogą,
Jakże to strasznie w swej rodzinnej chacie
Ujrzeć twarz jakąś nieznaną i wrogą!

. . . .

O jakże cicho — pusto w tej komnacie,
Prócz mego ducha nie ma tu nikogo,
Nikt tu nie myśli i nikt nie pamięta.
Słaby blask rzuca lampa przysłonięta!

Pod lampą tylko jedna książka mała
Pod złotym światła otwarta strumieniem,
Wiotka jej kartka lekko poczerniała,
Może pod częstem, gorącem westchnieniem,
Na kartce suche listki rozsypała
Wiązanka kwiatów z tajemnem znaczeniem
Dobranych! — Wszystko jak było przed laty,
Książka — obrazek blady — zwiędłe kwiaty.

Czas mi już odejść, odejść niepoznany.
Tęsknotą grobu skrzydła moje drżały,
Dawne się w sercu zapaliły rany.
Dawne się piosnki w sercu odezwały! —
Ach! lecz na książki kartce wyczytanej
Dwóch łez przeźrocze zabłysły kryształy,
Na zmięte kartki — na kwiaty pobladłe
Dwie łzy! — Pamięci łezki... świeżo spadłe.

Błogosławiona bądź pamięci mocy,
Co łez perłami darzysz umarłego!
Ach! — ja powrócę kiedy o północy
Do marzeń moich kraju dalekiego!
Nie bój się! Cichy będzie duch sierocy,
Jak smutne echo psalmu przebrzmiałego,
Sny słodkie będę na skrzydłach przynosić!
Dla umarłego dwie łzy!... Czyż nie dosyć!?

Bożymir.

MAŁŻEŃSTWO PIĘCIODNIOWE.

Urywek z dziennika.

Z FRANCUZKIEGO PRZEZ H. W.

(Dok.) Noc nadeszła... tak cicha, skąpana cała w srebrnych promieniach księżyca w pełni... taka wonna, tak spokojna... Wyobraziłem sobie, że ta noc, to obraz życia Ernestyny.. że jej dusza tak samo cicha, tak samo promienista, już musi być zupełnie spokojną na łonie Stwórcy. Ona jeszcze za życia, tak była od ziemi oderwaną. Błogi spokój mnię ogarnął, zapragnąłem gorąco odwidzić pokój Ernestyny, ten pokój, w którym całe jej życie się koncentrowało, zkąd jej czysty duch w niebo uleciał.

Cicho, na palcach, jakbym się bał. by nie zbudzić umarłej, przesunąłem się bez świecy przez korytarz i ostrożnie wsunąłem się do pokoju. Zwłoki już ztamtąd wyniesiono, by je złożyć na katafalku w wielkiej sali na dole. Tam zwykle hrabiów de Puineuf wystawiano. Nakazałem żeby nic nie brakło do uczczenia zmarłej, żeby splondrowano całą oranżerję do ubrania katafalku. Ona za życia tak kwiaty lubiła!

W pokoju Ernestyny okna były otwarte, światło księżyca oblewało go całą strugą, woń kwiatów go napełniała, nic nie przypominało, że tak niedawno odbywała się tu walka na śmierć lub życie, i że śmierć nieubłagana odniosła zwycięstwo, że tylko co rozbrzmiewały te mury odgłosem jęków i płaczu serdecznego. Choroba Ernestyny tak krótko trwała, tak ją z nienacka napadła, że pokój ten w swoim nieładzie — cała służba zajęta zwłokami i katafalku urządzaniem nie miała czasu pokoju Ernestyny uprzątnąć — właśnie pełnym życiem oddychał. Bukiety nie miały czasu zwiędnąć w wazonach, zegar, który się raz na dwa tygodnie nakręcał, iść nie przestał, a już ta ręka, która go jeszcze ostatni raz nakręcała, zastygła na wieki! Na stoliku zaczęta robótka, na biórku list nieskończony, wszystko zdawało się zapowiadać, że istota, która te martwe przedmioty ożywiała, wyszła tylko na chwilę, by powrócić niebawem i dokończyć czynności rozpoczętych.

Zatrzymałem się drżąc cały na środku. Widywałem ten pokój w dzień tylko. Wtedy miał fizjonomię sztywną, wszystko było metodycznie ustawione, łóżko ciężką kotarą zasłonięte, każdy sprzęt zdawał się wrośnięty w miejsce, gdzie mu stać kazano. Tej nocy całkiem inaczej mi się przedstawiał. Te rzeczy w nieładzie tu i tam leżące, ten brak systematyczności, dziwne uczucie we mnie budziły.

Był to ból i rozkosz zarazem. Zacząłem marzyć... Gdyby tak Ernestyna była kiedy podzieliła moją miłość, gdyby ten pokój był naszym wspólnym pokojem... O byłaby mnię z pewnością pokochała, gdyby śmierć nie wydarła mi jej była przedwcześnie.

Nocna lampka dotąd u sufitu płonęła, u jej ogniska zapaliłem kandelabry na kominie stojące, brałem każdy przedmiot w rękę i namiętnie do ust cisnąłem.

Obchodząc tak pokój w około, odbywałem rodzaj stacji, zwyczajem pielgrzymów w miejscach świętych.

Tu leżał różaniec w Rzymie poświęcany na modlitewniku, tam książka z nożem do rozcinania kartek we środku. Otworzyłem książkę, z religijną czułością. Dotąd jej drogie rączki kartki rozcinały, tu czytając ostatni raz jej oczy spoczęły. Wreszcie zbliżyłem się do biórka. Pęk kluczy tkwił w jednej ze szufladek. Widocznie w ten wieczór nieszczęsny, gdy nad ranem zasłabła, pisała jeszcze, a może coś w szufladach układała i nawet kluczy nie wyjęła.

Odsuwałem jedną szufladę po drugiej. Znalazłem koronę z róż białych, pamiątka pierwszej komunji, kilka zwiędłych wieńców laurowych, nagroda pilności, wyniesiona z Sacré Coeur, gdzie ją ojciec po śmierci matki był oddał na wychowanie. Pakiet z memi listami leżał osobno wstążką związany. Nie brakło ani jednego. Więc przecie moje listy budziły w niej jakiś interes — pomyślałem sobie — skoro je tak wiernie składała. Różne papiery znajdowałem w największym porządku. Akt ślubny, tudzież inne akta urzędowe... uderzyło mnię tylko, że metryki Artura między niemi nie było.

Chciałem już zamykać ostatnią szufladę, gdy coś mi stanęło na zawadzie. Wyjąłem ją zupełnie a rękę w otwór wsunąłem. Szukając tej przeszkody, która szuflady zamknąć nie dozwalała, nacisnąłem jakby guzik niewielki. Odskoczył kawałek deseczki i ukazała się mała, tajemna kryjówka. Było to muzeum najrozmaitszych pamiątek. Kwiaty zeschłe, kamyczki z rzeki Loary, kilka czteroliści koniczowych, zeszycik z wypisami, wszystkie treści nader melancholicznej. Przeglądałem to S a n c t o r i u m bez skrupułu. Czyż dusza Ernestyny nie była czystszą od kryształu? A zresztą, wszak już nie żyje... jej więc niewinne tajemnice do mnie z prawa należą.

Przeglądnąłem już wszystkie kąciki kryjówki i szukałem właśnie sposobu by ją zamknąć na powrót, gdy ręka moja jeszcze na jakiś papier natrafiła. Był to list do mojej żony adresowany... list od pana Clermont. W tej chwili pismo jego poznałem....

Rzecz dziwna i niepojęta! Wszedłem do tego pokoju z uczuciem tak rzewnem, jakbym wchodził do przybytku świętego, bo też czciłem Ernestynę jak świętą. Miałem ją za istotę bez zmazy, za anioła czystości, dla którego białych skrzydeł, nawet węzły małżeńskie, zanadto ziemskiemi się wydawały. Żadne przeczucie mnię nie uprzedziło, nie ostrzegło, a jednak gdy się tego listu dotknąłem, gdy pismo poznałem, jakby żmija jadowita w serce mi się wpiła. Tak straszno, a zarazem tak przerażająco jasno zrobiło mi się w duszy, jak gdyby błyskawica olśniewająca zdarła nagle z oczu grubą kataraktę, która mnię dotychczas ślepym czyniła.

Czułem, że w tym liście jest klucz zagadki, dla czego moje życie tak się zmarnowało, że w nim przyczyna obojętności dla mnie Ernestyny, że ten list będzie dla mnie ciosem stokroć boleśniejszym, niżeli jej śmierć nawet... przymknąłem oczy na chwilę, jak przed strasznym zjawiskiem, jak się je zamyka instynktowo, gdy grom ma w nas uderzyć...

Trzeba — pomyślałem — wychylić do dna kielich goryczy... i drżącą ręką list otworzyłem....

Oto co w sobie zawierał:

„Nie lękaj się Ernestyno, będę odmawiał stanowczo i nie przyjmę jego zaprosin. Po cóż bym miał odwidzać Savenière? Aby serce rozkrwawiać wspomnieniami chwil rozkoszy nadziemskiej, które nigdy się już dla nas niepowrócą, aby widzieć wszelkie nadzieje nasze zniszczone... a ciebie własnością innego!... Nie! noga moja nie przestąpi więcej progów raju, którego bramy na zawsze przed nami zamknięto!...“

„Włoscy rybacy, gdy fale zdradliwe, grożą łodzi zniszczeniem, ratują przedewszystkiem deskę z M a d o n n ą wymalowaną, lub świętym łodzi p a t r o n e m, częstokroć z narażeniem życia własnego. Niech kto chce, nazwie to zabobonem, mnie zawsze ta głęboka wiara prostaczków rozrzewniała. I my tak zrobili Najdroższa! Łódź naszego szczęścia rozbiła się najprzód, o upór żelazny twego ojca. Później łudziliśmy się, że sklecona na prędce, zawinie z nami bezpiecznie do portu. Daremna ułuda! Strzaskała się na nowo o twardą skałę obowiązku, a my, dwaj rozbitki nieszczęśliwi, rzuceni każdy w inną stronę, pokaleczeni, z sercem zamarłem, uratowaliśmy z niej zaledwie nasze świętości. Tych nam nikt nie wydrze z łona! Na co nam się widywać. Pewni jesteśmy jedno drugiego. Wiemy, że pamięć chwil razem przeżytych, nigdy w nas nie zagaśnie, że obraz w sercu wyryty nie zblednieje, żeśmy oboje nie zdolni popełnić tej nikczemności, którą ludzie z a p o m n i e n i e m nazywają.“

„Cóż ci powiedzieć jeszcze, o czembyś nie wiedziała. Serce moje było ołtarzem, na którym bóstwo umieściłem, jedno, jedyne! Tym bóstwem tyś była. Nie lękaj się więc bym je chciał sam sprofanować. Nie uczynię jednego kroku, nie popełnię najmniejszej nieostrożności, któraby mogła cześć twoją na szwank narazić, zakłócić twój spokój. Czyż moja miłość była kiedy namiętnością samolubną, łamiącą gwałtownie wszelkie przeszkody, byle sobie dogodzić? Nigdy! wszak prawda? Nie moje, tylko twoje szczęście, było dla mnie jedynym życia celem. Gdybym wiedział, że śmierć moja ciebie uspokoi, nie wahałbym się jednej chwili, oddać ci to nędzne życie w ofierze, wiem jednak, że byłaby to li jedna więcej rana w sercu twojem. Kto tak jak my kochał, nie pokocha raz drugi...“

„Przybyłem w te strony, bo nie mogłem już dłużej pokonać zabijającej tęsknoty, za tobą, za d z i e c k i e m... Jak nurek potrzebuje wypłynąć na powierzchnią wody, by powietrza nabrać w płuca ścieśnione, a poten znowu idzie śmiało na dno morskich otchłani, tak i ja potrzebowałem

widzieć cię choć z daleka, by rzucić się w odmęt życia na nowo."

„Jeździłem po naszej Loarze....

„Pamiętasz! Tak lubiłaś te przejażdżki. Nieraz jak dwoje dzieci, swobodni, szczęśliwi, to pruliśmy łódką jej wody z szybkością błyskawicy, to wysiadłszy na brzegu, zbierali kamyczki, wiązki z kwiatów polnych, szukali czteroliści szczęścia! Ty dla mnie, ja dla ciebie, oboje nadaremnie. Raz zdawałaś się usypiać w mojem objęciu, jedną ręką powoli wiosłowałem, drugą twoją śliczną główkę do mej piersi tuliłem, tyś wtedy mi szepnęła: „O! gdyby tak umrzeć razem!" Miałaś słuszność dziecię najdroższe! Lepiej by nam było na dnie rzeki, niżeli rzuconych na pastwę świata zimnego, nieubłaganego, którego prawa rozdzieliły nas, łamiąc nam serca bezlitośnie."

„Pani de Moëlan mówiła mi długo o tobie. Wiem żeś się cokolwiek uspokoiła. Dźwigasz z rezygnacją męczennicy łańcuch, którym przykuła cię niezłomna wola ojca do człowieka nieznanego, niekochanego. Ma to być przynajmniej człowiek delikatny i umiejący cię ocenić. Któżby mógł ciebie nie pokochać, mój cichy Aniele!"

„Widziałem także u niej Arturka. Do ciebie na szczęście podobny. Umysł ma nad wiek rozwinięty. Kiedyś to i we mnie ludzie takie zdolności upatrywali. Ten nędzny rozum. I na cóż on mi się przydał? Wszystkie nauki zbadałem, a nie potrafiłem znaleźć drogi do szczęścia! Cały ten kram tyloletnią pracą zdobyty, oddałbym za jeden dzień z naszej błogiej przeszłości, z tobą razem spędzony.

„Chociaż Hermina wie o wszystkiem, nie śmiałem w jej obecności, tak jak serce pragnęło, zbliżyć się do dziecka. Póki będę w tych stronach, przysyłaj go często do waszego lasu, błagam cię o tę łaskę! Pięć lat go nie widziałem! do serca nie przycisnąłem! Będzie mię uważał za strzelca jakiegoś obcego, nic więcej... a jeżeli kiedy pieszcząc go nie potrafię łez stłumić, powiem mu, że i ja miałem takiego chłopczyka, a dziś jestem sam jeden na szerokim świecie. Kochaj to dziecię Ernestyno, kochaj gorąco! To jedyny węzeł między nami, jedyne uczucie, w którem wolno nam obecnie spotykać się w naszej wspólnej miłości.

„Bywaj mi zdrowa! Kilka razy list ten zaczynałem. Chciałem być spokojnym, prawie zimnym, żeby w twojem sercu nie obudzić wspomnień zanadto bolesnych. Nie zawsze jednak byłem panem siebie. Jeżeli mi czasem łza oko zaćmiła i odbiła się jękiem żałośnym w słowach listu, daruj mi tę słabość Najdroższa! Choćbym miał resztę życia przebyć w ciemnicy, nigdy przez słońce nie odwidzanej, jeszcze by mi się jasną wydała, opromieniona wspomnieniem chwil z tobą przeżytych. I jażbym miał narzekać, że moje szczęście krótko trwało, gdy tylu innych ludzi nigdy je nie zaznali?! Póki to serce bić nie przestanie, będzie wiecznie błogosławić Stwórcy, że mi ciebie poznać pozwolił, a tobie, żeś nie zamykała przedemną skarbów duszy twojej.

„Śnie mój złoty, żegnaj na zawsze, Aniele mój pomódl się czasem za twego Alfreda."

. . . .

. . . .

Każdy z tych wyrazów, spadał jak kropla ołowiu roztopionego na moją głowę i zdawał się aż do mózgu przeciekać, budząc w nim chaos myśli tak piekielnych, taką zemstą dyszących, że byłem w stanie w tej chwili, nie jak Neron Rzym jeden, lecz świat cały na cztery rogi podpalić.

A więc tak rzeczy stały? Ta kobieta, którą kochałem nad wszystko, czciłem jak świętą, oszczędzałem jej najmniejszej przykrości kosztem szczęścia własnego, oszukiwała mnie niegodnie, podstępnie! Kochanek umiał znaleźć drogę do tego serca, które przedemną było szczelnie zamknięte. W mojem objęciu drżała z obawy i wstrętu, a jemu wolno było bez oporu ze strony tej nieziemskiej istoty tulić ją do piersi. A to dziecko! Tyle razy przyciskałem je do serca z uczuciem ojcowskiem. Niegodziwa obłudnica, jeszcze i dla niego wyzyskiwała bez skrupułu moją miłość i nawet twarz jej wstydem nie spłonęła! hańbo! i jam ich gwałtem razem sprowadził, grałem rolę pośrednika między żoną własną, a jej długoletnim kochankiem, poniżyłem się jeszcze w ich oczach śmiesznością. Prześladowałem ją, że nie dosyć go ugrzecznia! kiedy ona jemu oddawała wszystkie te skarby, które do mnie z prawa należały, a które przedemną były głęboko ukryte. A te żarty, któremi nieraz ich oboje drażniłem, myśląc, że to wywoła prędsze między nimi porozumienie. Ha! jakimże rumieńcem wstydu płonie twarz moja, jakim ogniem piekielnym serce goreje! gdy sobie przypomnę rolę, którą grałem, biedny, uczciwy człowiek, przez nich podeptany, rolę ślepego, głuchego, ostatecznego idjoty! I pomyśleć, że wystawiałem się dobrowolnie, godzinami, dniami, miesiącami na ich pośmiewisko, a może co gorsza, na ich litość nad moją głupotą!...

Całe piekło we mnie zawrzało! Ścisnąłem list w pięści i wyleciałem szalony, wściekły na korytarz.

— Gdzie trup?! — krzyknąłem głosem, jak ryk burzy gromkim, na służącego, który mi się nawinął.

Struchlał na mój widok. Niemym ruchem ręki wskazał mi drzwi od sali i uciekł czem prędzej.

Rzuciłem drzwiami tak gwałtownie, że aż kawałek muru odleciał... katafalk wspaniały, wysoki, wznosił się na środku sali. Czarna, aksamitna opona w łzy srebrne prawie całą posadzkę okrywała, gradusy były prześlicznie ozdobione najrzadszemi krzewami, wieńce i bukiety ciało okrywały. Na stopniach katafalku klęczał Artur łzami zalany, obok stała bona jego, wpatrując się z miłością w twarz Ernestyny. I ona również płakała.

— Wyprowadzić natychmiast tego!... ostatni wyraz mimo całej wściekłości uwiązł mi w piersiach. Co mnie wstrzymało? Nie wzgląd na te zwłoki, nie! Czyż ta obłudna, niegodziwa kobieta warta była względu najmniejszego? ale poszanowanie dla siebie samego, dla tego miejsca, gdzie szereg moich przodków wisiał na ścianie, a wszyscy, nim ich na wieczny spoczynek w kaplicy złożono, tu na łożu śmiertelnem leżeli. Wyraz tak obelżywy nie mógł obić się o te ściany, a zresztą, cóż to dziecko temu winno było, żeby tak kalać jego myśl niewinną?...

Bona uciekła, również jak służący przerażona, dziecko ciągnąc za sobą.

Zamknąłem drzwi na klucz. Z listem w ręku stanąłem

na szczycie katafalku. Obrzucałem umarłą słowami pogardy najwyższej, miotałem na jej martwą głowę przekleństwa najstraszniejsze. Jej milczenie i nieruchomość, przyprowadziły mnię do szału bezgranicznego. Zacząłem łamać kwiaty, wyrzucałem przez okna wieńce i bukiety, zciągnąłem z jej palca skostniałego ślubną obrączkę i także przez okno wyrzuciłem, wydarłem z jej rąk złożonych w krzyż krucyfiks, krzycząc gwałtownie, „że kobieta wiarołomna, żona występna, nie powinna się dotykać tego znaku odkupienia, tego godła męczeństwa i świętości...

— Dla ciebie niema zbawienia! — wołałem głosem ochrypłym — na ciebie piekło czeka! Nie wymyślą tam jednak mąk straszliwszych, jak te, które ja z twojej przyczyny ponoszę, które szarpią mi serce, przez ciebie zdradzone, zawiedzione, zdeptane!...

Byłbym może i umarłą wyrzucił, wyczerpały się jednak moje siły. Stoczyłem się omdlały po stopniach katafalku na ziemię... gdy mój głos piorunujący ucichł, a ja wcale nie wychodziłem z sali, wyważono drzwi i do łóżka mnię zaniesiono, przypisując napad szaleństwa rozpaczy, która mnię opanowała. Leżałem całą dobę w gorączce, bezprzytomny.

Pierwszym przedmiotem budzącym moje zmysły uśpione, był list ów nieszczęsny, którego dotąd z pięści skurczonej konwulsyjnie nie wypuściłem. W jednej chwili objąłem myślą na nowo moją hańbę, moje nieszczęście. Znowu o mało przytomności nie straciłem od nawału wspomnień, które cisnęły się do serca i głowy. Schwyciłem się oburącz za głowę, by mi nie pękła, i zawołałem na głos cały:

— Ja chcę być silnym, zdrowym, nie mogę chorować, wszak zemścić się muszę!

Do tego czasu tylko o Ernestynie myślałem. Najboleśniejszą jest nam zawsze zdrada osoby ukochanej.

— Ależ ona ma wspólnika! — krzyknąłem zrywając się na równe nogi. — Ona nic już nie czuje, nie słyszy, bo umarła, on jednak żyje, żyje! Jego mogę tym listem wypoliczkować, mogę w krwi jego zmyć moją hańbę! O radości niepojęta!

Zadzwoniłem z całej siły.

— Gdzie pan Clermont? Co się z nim stało? — zapytałem z pospiechem gorączkowym służącego, który oniemiał ze zdziwienia, gdy mnie zobaczył już na nogach i na wpół ubranego, zostawiwszy mnie przed godziną bezwładnego i bezprzytomnego.

— Oj proszę pana! źle z nim bardzo — odpowiedział ręką machnąwszy. — Zaraził się od pani na pewno. Gorączka bucha od niego jak z pieca, a gada, gada bez ustanku. Pan de Moirand przywiózł dwóch lekarzy, chciał go do siebie zabierać, ale nie pozwolili.

Więc i on ma ujść bezkarnie przed moją zemstą? — pomyślałem z wściekłością w sercu.

Nigdy matka nad dzieckiem jedynem nie czuwa troskliwiej, nie otacza go większemi staraniami, nie modli się goręciej o jego zdrowie, niżeli to ja czyniłem nad łożem boleści Clermont'a.

Sprowadzałem lekarzy najsławniejszych, zaklinałem, błagałem, żeby niczego nie szczędzili, byle jego uratować! Od kiedy spojrzałem w tę twarz obmierzłą, podwójna chęć zemsty mną owładła. Gdyby się mu choć na tyle polepszyło, by mógł mnie usłyszeć, by mógł zrozumieć przekleństwa, obelgi, któremi chciałem go obrzucić, by mógł odczuć uderzenie policzka, przezemnie wymierzonego. Tamta przedwcześnie umarła, gdy ten jeszcze umrze, na kimże wywrę gniew mój, w czyich łzach, w czyjej krwi, mamże ugasić ogień piekielny, który mnie pożera? Czyż nie podzielę z nikim tortur, które mi ich zdrada sprawiła? Czyż i ta nadzieja zemsty mnie zawiedzie? Będęż przymuszony patrzeć na spokojną śmierć człowieka, który mi taką krwawą krzywdę wyrządził? Więc jeszcze i w śmierci los ich połączy? Tę chorobę ona mu udzieliła! Nawet i tego szczęścia dostąpił, że pielęgnując skarb swój najdroższy, zaród śmierci w piersi uczuł. A dla mnie nic, nic, nie zostanie! Gdyby był bodaj na chwilę wrócił do przytomności, byłem gotów to wszystko wykonać na chorym, na umierającym, zelżyć go i wypoliczkować. Byłoby to podle i nikczemnie, co mnie to jednak obchodziło? Chciałem żeby on cierpiał, tak jak ja cierpiałem. Wszystkie inne uczucia, w obec gorącego zemsty pragnienia, przestały istnieć w mojem sercu.

Bóg odmówił mi tej niecnej radości, pastwienia się nad umierającym. Clermont skonał w siedm dni po Ernestynie, głuchy, nieczuły, bezprzytomny!...

Śmierć jego była nowym dla mnie ciosem, a jednak może to mnię przy życiu zachowało. Gdybym był wywarł na nim gniew mój, moją zemstę, nerwy byłyby się do reszty rozprzęgły, może bez ratunku. Ta chęć zemsty nienasycona, trzymała mnie jedynie na tym świecie.

W mojem położeniu, wziąłem sobie za zadanie, za punkt honoru, żyć koniecznie. Czyż mieliby jeszcze ludzie o mnie mówić, że nie mogłem przeżyć straty żony, tej wiernej, tej tak mnie kochającej żony? Miałaż śmierć moja dodać jeden więcej promień do jasnej aureoli, którą opinia ogółu pamięć Ernestyny otaczała? Czyż miała stanowić jeden więcej dodatek, jeden więcej szczegół w szumnym o jej cnotach panegiryku? Nie chciałem przynajmniej tego kłamliwego hołdu złożyć u stóp jej nagrobka, przeciwnie, chciałem żyć, by okazać, jak mało mnie jej śmierć dotknęła. Nie mogąc zemścić się czynnie na żadnym z dwojga, chciałem obojętnością pokazać, jak mało ją ceniłem. Tajemnicy nieszczęsnej, nie mogłem wydać na łup świata, bo i cóżby mi było przyszło z tego, że moja hańba byłaby wszystkim wiadoma? Czyż byłoby wtedy znikło jej fatalne piętno z mego czoła! Chociaż ukryłem ją na dnie serca, a jeszcze zdawało mi się nieraz, że oczy ludzkie patrzą na mnie jakoś dziwnie, jakby się czegoś domyślały. Wtedy wstyd jak fale lawy rozpalonej twarz moją zalewał, czułem, że dobiłaby mnie litość ludzi.

Nie mogąc uniknąć rany bolesnej, ani za nią się zemścić, postanowiłem całem mojem postępowaniem zaprzeczyć jej istnieniu.

Zacząłem odwidzać sąsiadów, przyjmowałem wszelkie zaproszenia, starałem się wszędzie bawić wesoło.

Gdy gramy rolę nienaturalną, musimy w niej zawsze przesadzić. Chciałem znosić ból mój bez skargi, skończyłem na tem, żem go maskował, śpiewając i skacząc nieledwie. Wszystkich dziwiła moja niezwykła swoboda,

a nawet wesołość. Zaczęto za złe mi ją brać, a i ja sam czułem jak sztuczny uśmiech zastyga w pół drogi na ustach bolem drgających, jak ta rola przybrana zaczyna mnie nużyć śmiertelnie. Nie mogłem w niej się utrzymać nie mogłem walczyć dłużej z własną boleścią i z potępiającą opinją.

Ponieważ los przekorny, usunął z pod mojej zemsty istoty żyjące, postanowiłem wywrzeć ją przynajmniej na przedmiotach nieżyjących. Pobyt w Savenière stał się dla mnie niemożebnym. Zrealizowałem o ile się dało w najkrótszym czasie cały mój majątek nieruchomy, zostawiając odpowiedni kapitał, by zamek w Savenière z kaplicą pośmiertną moich przodków, był odpowiednio utrzymany. Artura także należycie wyposażonego, by nie był nikomu ciężarem, odesłałem do pani de Moëlan z listem tej treści:

Pani!

„Nieszczęśliwym zbiegiem wypadków, a może też kierowany ręką Opatrzności, natrafiłem po śmierci Ernestyny na kryjówkę pełną pamiątek rozmaitych, w której był i list od pana Clermont do mojej **żony**! Myślę, iż nie potrzebuję rozwodzić się nad uczuciami, które to fatalne odkrycie wzbudziło w sercu mojem. Pani nie robię żadnych wymówek, gdyż czuję, że nie umiałbym nigdy zostać denuncjantem i zdradzić zaufania we mnie położonego. Na pani miejscu, byłbym milczał, tak samo jak Ty milczałaś.“

„Tajemnicy mojej hańby nie ogłoszę światu, przez wzgląd na siebie samego i na moją rodzinę. Ponieważ atoli pani wiedziałaś o **wszystkiem**, Tobie odsyłam ich **dziecko**. Nazwiska niestety nie mogę mu odebrać, nie chcę go jednak widywać, lękam się bym kiedy mimowoli, nie dotknął w jego obecności struny tak drażliwej. Syn powinien bądź jak bądź pamięć matki szanować. Daję mu majątek odpowiedni jego przyszłemu stanowisku, zresztą będzie los jego wyłącznie od pani zależał, pokierujesz nim jak zechcesz.

Henryk de Puineuf.

Załatwiwszy się z tą sprawą najważniejszą, ogłosiłem wysprzedaż ogólną moich ruchomości. Byłem przez cały czas sam temu przytomnym. Znajdowałem w tem dzikie zadowolenie, nikczemną radość, by rzucać w ręce żydów, którzy zawsze chciwi zysku, zbiegli się jak stado kruków, co tylko do Ernestyny należało. Jej strój ślubny, książki do modlitwy, wszystko co lubiła, czego się dotykała, wszystkie jej świętości deptałem nogami i oddawałem kolejno na łup tym brudnym rękom, krzywdą ludzką skalanym. Z śmiechem szatańskim przysłuchiwałem się ich bezecnym targom żydowskim, tem więcej czując się zadowolonym, im przez więcej rąk przeszedł który z tych przedmiotów.

Wszystko sprzedałem! Jej kwiaty, ptaszki, pieska ulubionego, dopiero gdy zupełną pustkę ujrzałem w okół siebie — wierny obraz mego życia bez celu, bez nadziei — lżej mi się na sercu zrobiło.

O! czemuż jeszcze nie mogłem tym żydom oddać i jej syna na pastwę? Czemuż nie mogłem go im rzucić, mówiąc: „Dziecko na sprzedaż! kto da więcej?“ — Czemuż nie mogłem odstąpić im jednocześnie dziesięciu lat mojej dla niej miłości, moich marzeń o szczęściu, nadziei zawiedzionych, owych radości, wiecznie oczekiwanych a nigdy nie spełnionych, mojej ufności bezwzględnej, mojej wiary w jej czystość, w jej świętość!...

Boże mój, Boże! gdyby tak chciał kto kupić odemnie, całą nieszczęsną przeszłość moją! Na cóż mi się przydało zburzyć świątynię, sprofanować ołtarze, wmisić w błoto wszystko, co do bóstwa mego należało, kiedy nie mogę o niej samej zapomnieć, o mojej wierze zdeptanej, o mojej boleści bezmiernej!

Wyczerpałem wszelkie środki zerwania z przeszłością, zemściłem się o ile to było możebnem, cóż miałem dłużej robić w Savenière? Postanowiłem udać się w góry Wogezy, by żyć tam zdala od ludzi, od zgiełku światowego, życiem pustelnika, odludka. Zamówiłem na drugi dzień pocztę w Angers, a sam znowu wieczorem wybrałem się konno z Savenière.

Taki sam był dzień listopadowy jak niegdyś... Wiatr zdawał się szumieć jeszcze żałośliwiej, deszcz spadał ciężkiemi kroplami, liść zeschły, wichrem porywany, kręcił młynka nad moją głową... pagórek świecił nagością... drzewa bez liści wyciągały ku niebu suche, czarne konary. Przypomniałem sobie, że tą samą drogą jechałem temu lat pięć!...

Wtedy zdążałem do domu, gdzie spodziewałem się znaleźć żonę kochającą, przycisnąć syna do serca, spodziewałem się szczęścia, spokoju... Marzenia zwodnicze, nadzieje uludne! pięć lat przeżyłem w ciągłej walce z czemś niewidzialnem, niedotykalnem, z jakimś upiorem, który mi do szczęścia drogę zagradzał... wreszcie śmierć zdarła tajemnicę, dotknąłem się upiora, lecz zapóźno! za późno! nawet na zemstę za późno niestety!

Zatrzymałem konia i jeszcze raz zwróciłem się ku Savenière. Wdzięczny byłem naturze, że tak jest smutną, ponurą, jakby dzieliła boleść moją, jakby się umyślnie przyoblekła w szaty żałoby, by razem ze mną łzami żegnać mój kąt rodzinny.

Savenière wydało mi się wielkim cmentarzem, gdziem tyle pochował! Szczęście, młodość, nadzieję, wiarę w cnotę, w przyjaźń, w miłość, przez tych pięć lat tu przebytych wszystkom stracił! Bez żony! bez dziecka! szedłem znowu w świat na tułaczkę, sierota wyzuty ze wszystkiego!

Taka mnię żałość ogarnęła! że pod jej wpływem serce moje zupełnie odtajało. Pękły lody nienawiści, uleciała chęć zemsty bezbożnej, zalałem się łzami rzewnemi, a te łzy pierwsze od śmierci Ernestyny, spłukały resztę uczuć nieszlachetnych, któremi wielka boleść była duszę moją zaraziła i zatruła.

Wrócił spokój w głąb serca, darowałem obojgu krzywdę moją, czyż i oni nie byli nieszczęśliwi? Czyż życiem nie przepłacili winy wspólnej? Wszak i oni — pomyślałem sobie — mogliby mnie złorzeczyć, a nigdy słowo skargi nie wyszło z ust ich! Byłem przecie pierwotną przyczyną ich rozłączenia.

Czyż powinienem był, jako mężczyzna doświadczony, znający życie, dać się wciągnąć tak lekkomyślnie w związek małżeński, z osobą, której nie znałem, o której nic nie